ROK PIĄTY.

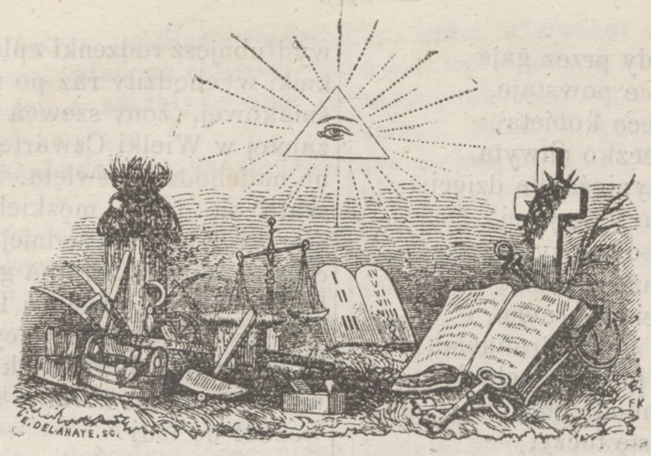
—

№ 21.

WARSZAWA

d. 8 (20) maja

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

6ta po Wiel-kiej-Nocy.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Miłość jest pierwsze rozkazanie Pańskie i głowa wszystkiego zakonu i proroków. Tej miłości najpierwsza część jest staranie o ubogich i bliźnich naszych, pokazanie im miłosierdzia i użalenie. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

OKNO.

—



W ubogiej chacie, poszytej słomą,
Porosłej zielem, jak to wiadomo,
Że ptastwo ziarno roznosi w dziobie,
Gdzie zerwie, w polu albo przy żłobie,
I w lecie ziarno owe rozsiewa,
Gdzie odpoczywa i gdzie spożywa;
Tak że na lato z omszonej chaty
Na raz wychodzą kłoski i kwiaty,
I na poszyciu jakoś się tworzy
Zielona grzęda, ogródek boży.

Owóż w chałupie, co się pokryła
Kłosem i zielem jakby mogiła,
W boru, bo Mazur wyżyć nie może,
Tylko na piasku i tylko w borze,
W izbie wilgotnej, dymem zawianej,
Gdzie nawet słońce szparą od ściany
Nie zaglądało, choć wybierz oczy;
W takiej zadymie i w takiej mroczy
Mieszkał oddawna z dziećmi małemi
Gospodarz, co miał kawałek ziemi.
Żonisko jego pracowne, chętne,
Posprzedawało szmaty odświętne
Na garstkę zboża, na krupkę soli,
Nim nowe żyto zejdzie na roli.

Niech Bóg zachowa od biedy kmiecej,
Jak raz najgorzej wlezie na plecy,
Żebyś jak nie wiem, nic nie pomaga,
Jedno, przejedno, czy klnie, czy błaga:
Bieda się trzyma, nic nie uważa,
Chociaż się człowiek jak żrebię tarza;
Żeby choć słońca kilka promieni
Złotém pasemkiem przemkło po sieni,
Żeby się w izbie choć zakręciło,
Zarazby sercu inaczej było.
Ale cóż pocznie, lato czy zima,
W chałupie ognia nie mą i nie ma!—

Próżno co rano, kiedy przez gaje
Z zielonej sieci słońce powstaje,
Niespracowana kmieca kobieta
Do swego sita słoneczko chwyta,
Żeby też blasku przynieść dla dzieci:
Co weźmie w sito, to jej wyleci,
Pokąd nie wejdzie pomiędzy drzewa,
Słońca ma pełno, aż się przelewa,
Na ziemię spada nici srebrnemi,
Na ziołach błyszczy perły drobnemi;
Ale jak tylko przez próg przechodzi,
Ćma ją ogarnia, zimno ją chłodzi,
Sito po ziemi puste się toczy,
A łza sieroca opływa oczy.

Jeszcze się taka łza nie stoczyła,
Coby przed Bogiem ukrytą była.

Zobaczył Pan Bóg żałość niewieścią,
I zmiłowany nad jej boleścią,
Sam Stwórca świata z górnego nieba
Idzie porobić wszystko jak trzeba.

Jeden cherubin, jeden aniołek
Niósł tylko szaty jego podołek,
Jeden pod Pańskim płynął rękawem,
I jeden wiewał skrzydłem jaskrawem.

* *
*

Gdy Stwórca świata stanął za płotem
I wyciął w ścianę toporkiem złotym,
Aż tu, buch! słońce okienkiem wpada,
Z obrazka Święty na ścianie gada.
Na stare lata piec też gliniany
Świeci się z kąta jak pozłacany,
Dzieci w kołyskach od tej jasności
Śmieją się, cieszą, z wielkiej radości;
Motyle modre i popielate
Z powietrza lecą w otwartą chatę,
Brzozy w świetlice (*) patrzą żałosne,
Ciekawość zdjęła i starą sosnę;
Wszystko się cieszy, i tylko w progu
Łzawa niewiasta kłania się Bogu.—

Rzetelność nagrodzona.
(OBRAZEK).

—

— Marcinie, zamykajże prędzej drzwi za sobą, bo mi zaziębisz ciasto! Kasia nie kręć się koło stołu... Walek a bodajże cię... po co wydłubujesz rodzenki z placka? Takie wykrzykniki wychodziły raz po raz z ust pani Trześniakowej, żony szewca przy ulicy Podwale, zajętej w Wielki Czwartek pieczeniem ciasta na nadchodzące święta. Do tej wrzawy mieszało się kilka męzkich głosów, nucących *Gorzkie Żale* w sąsiedniej izbie, gdzie żwawa czeladź wykończała na gwałt pilniejszą robotę. Kiedy się to dzieje u Trześniaków, po drugiej stronie tej samej facyatki drzwi otworzyły się zwolna, i człowiek lat średnich schludnie choć ubogo ubrany z bochenkiem chleba wszedł do izby.

— Oto nasze Święcone tegoroczne Magdaleno, odezwał się, kładąc przyniesiony bochenek na stole, do kobiety niezmiernie bladej, i wycieńczonej, siedzącej przy oknie.

— Dzięki niech będą Bogu i za takie, odrzekła, zwracając ku niemu bladą twarz kobiecina; niedawno minęły czasy, gdzie nie spodziewałam się dożyć i takiego.

— To prawda moja dobra Magdusiu, ale właśnie też dla ciebie samej smuci mnie nasz niedostatek. Mój Boże, dziesięć lat mija od naszego pobrania, a czyż kiedy było tak smutno i pusto w Wielki Czwartek u nas, jak dzisiaj?

Ciężkie westchnienie przerwało mowę biedaka, po chwili zapytał znowu, oglądając się po izbie:

— Gdzież to Józio, moja żono? nie widziałem go, przechodząc przez podwórze.

— Skończył strugać zabawki i poszedł z niemi na miasto, chcąc jeszcze z parę groszy zarobić na święta. Poczciwe to jest dziecisko, mój Walenty; przy nim nie powinniśmy się nazywać nieszczęśliwymi.

— To prawda, lecz cóż z niego będzie przy naszem ubóstwie?

Ale zaledwie biedny człowiek dokończył tych wyrazów, gdy na schodach ozwał się stłumiony kwik prosiaczka, i niedługo chłopak cały zdyszany wbiegł do izby, trzymając szamoczące się zwierzątko. Tuż za nim ukazała się p. Trześniakowa i ozwała się grubym głosem:

— Czy to wasze prosię Walentowa?

— Nie moje, odparła zagadniona.

— Wracając do domu znalazłem je błąkające się po ulicy, a nie mogąc trafić na właściciela, przyniosłem go z sobą, wtrącił Józio.

(*) Świetlica czyli izba.

— I głupibyśbył żebyś go dłużej szukał, powiedziała szewcowa, gładząc chłopca po twarzy; odstąp mi je, a za fatygę dam ci dwa złote.

— Nie mogę, odrzekło dziecko, spoglądając na rodziców.

— No, to ci dołożę jeszcze złotówkę.

Józio był niewzruszonym.

— Uparty malcze, chcesz mnie widzę zedrzeć; na, masz półrubla, krzyknęła kusicielka, migocąc srebrną monetą przed oczyma biedaka. Nikt jednak nie przerwał milczenia.

— Co to jest, zawołała tupiąc nogą zniecierpliwiona kobieta, daremnie oczekująca odpowiedzi; co wam po prosięciu, wszak niezastawiacie Święconego, a za półrubla moglibyście sobie coś innego kupić na święta. Panie Walenty, dlaczego wasz Józiek nie chce mi sprzedać prosiaczka?

— Dlatego, odparł krótko poczciwy człowiek, bo wie dobrze, że ten, co sobie przywłaszcza rzecz cudzą, jest poprostu złodziejem.

— Przecież go nie ukradł, tylko znalazł, wrzasnęła Trześniakowa.

— Znalazł, a więc powinnością jego jest oddać właścicielowi.

— Mrzyjcie więc sobie z głodu, zawołała, trzasnąwszy drzwiami złośnica, nie zostawiając obecnym czasu do odpowiedzi.

Po jej odejściu chwilę jeszcze panowało milczenie, które przerwał Józio, uderzając się w czoło...

— Jaki też to mazgaj ze mnie! zawołał ochoczo... wszakże wczoraj sam widziałem, jak służąca z drugiej kamienicy niosła prosię z miasta; pójdę więc i zapytam, czy to nie jest to, które znalazłem?

— Zjedzże przynajmniej co moje dziecko, powiedziała Magdalena, przytrzymując syna.

— Nie, moja matko, powinność przedewszystkiem, odrzekł tenże, i nie czekając dłużej, wraz ze swoją zdobyczą wysunął się za drzwi.

Lecz jakież było zadziwienie poczciwych ludzi, gdy po upływie kilku godzin ujrzeli swego syna wracającego z rozpromienioną twarzą, niosącego w jednej ręce prześlicznie ubraną babę, a drugą przytrzymującego połę surducika pełną malowanych jaj i rozmaitych łakoci! Tajemnica wnet się wyjaśniła, skoro Józio odetchnąwszy cokolwiek, opowiedział, że te dary pochodziły z rąk właściciela zguby, który zdziwiony rzetelnością chłopca, wdał się z nim w rozmowę, i w ten sposób zapragnął choć w części zawdzięczyć jego usługę. Nie na tem jednak skończyła się łaska nieznajomego, gdyż dowiedziawszy się bliżej o smutném położeniu rodziców Józia, postarał się o znaczną zapomogę dla Walentego, który majątek swój przez różne nieszczęścia utracił. Łatwo sobie wyobrazić, jak wielkie oczy robiła Trześniakowa, widząc pokój i dostatek wstępujące do domu owych ludzi, co woleli zwrócić cudzą własność, aniżeli zaspokoić nią swój niedostatek i to jeszcze przed samemi świętami Wielkiej-Nocy.

Znaczenie ogrodnictwa i pożytki z tegoż.

I.

Ogrodnictwo było od wieków i dziś jest szkołą rolnictwa, najpierwszą potrzebą i najważniejszą podporą gospodarstwa. Tu najprzód wyprobowane zostały wszystkie rośliny, nim je przeniesiono na pole dla większej uprawy. Tu umiejętność i staranność człowieka wysila się, żeby z małej przestrzeni gruntu otrzymać jak największe plony. I nie dziw, że ogród w porównaniu, więcej rodzi niż pole, do czego przyczynia się lepsza uprawa ziemi rydlem, większe gnojenie, staranny w porę właściwą i dobranem nasieniem zasiew, pokrycie jego grabiami nie broną, wreszcie oczyszczanie tegoż z chwastów po dwa i trzy razy pieleniem. Gdyby tak pola mogły być uprawiane, wtedy małe przestrzenie gruntu wydawałyby obfite plony, dostateczniejsze na wyżywienie ludzi, niżeli wydaje pospolita uprawa obszarów, które w złem gospodarowaniu kosztują wiele pracy, a mało dają pożytku. Wiele orać, wiele siać, a mało zbierać, to nie jest dobre gospodarstwo, ale bezużyteczne marnowanie pracy i nasienia, oraz utrzymywanie w niepłodności gruntu, na którym lepiej i pożyteczniej mogłyby rość lasy.

Niesprawiedliwie ludzie narzekają na nieurodzajność gruntu, gdy go użyznić nie umieją. Każdy grunt dobrze rodzi, skoro jest należycie uprawiony i ugnojony, lub poprawiony

takiemi częściami składowemi, jakich mu brakuje. Do piasku dodać gliny i próchnicy z błota, a urodzi pszenicę; grunt mokry osuszyć, a rodzić będzie jak inny, niepotrzebujący osuszania. Przeciwnie łąki suche nierodzące, lub wydające dzikie trawy, nawet piaski czyste, po stosownem nawodnieniu wydają obfite i na paszę pożywne, zasiane na nich rośliny. Tak każdy kawałek ziemi niepłodny, można zrobić urodzajnym, dokładając do tego umiejętnej pracy i starania. (*)

Jeżeli ogrody na wsi wiele znaczą dla gospodarza, rolnika, nawet wyrobnika, nierównie większej wagi one są w miastach, gdzie liczna ludność nierolnicza, na codzienne spożycie, przy chlebie i mięsie, dużo potrzebuje ogrodowizny. Każdy rodzaj warzywa tam jest pokupny, i ten odbyt przynosi wielkie korzyści uprawiającym ogrody. Para morgów w mieście Warszawie wystarcza na przyzwoite utrzymanie rodziny. Za miastem ogrodnicy dzierżawiący większe przestrzenie gruntu, naprzykład w stronie zwanej Czystem, płacą czynszu z włóki rocznie po 450 rubli, co z morga jednego wynosi po 100 złotych; przytem oni sami żyją wygodnie, a rządni dorabiają się jeszcze majątków!

Dochody takie przynoszą nie kartofle, ale najprzód sałata i rzodkiewka, potem warzywa i włoszczyzny, jako to: buraki ćwikłowe, marchew, kalarepa, kalafiory, kapusta, ogórki, cebula, pietruszka, selery, pory, szparagi, groch cukrowy, i różne inne rośliny potrzebowane na potrawy i przyprawy kuchenne. Pomiędzy temi zaś rosnące, w pewnych odstępach zasadzane drzewa owocowe, jakoto: gruszki, jabłonie, śliwki, wiśnie i czereśnie, osobny dają pożytek, nie szkodząc uprawie warzyw, owszem pomagając im do lepszego wzrostu. Takim sposobem otrzymuje się podwójna korzyść, przyczem drzewa liściami pokryte stanowią ozdobę miejsca, przykładają się do czyszczenia, a zatem do utrzymania w zdrowym stanie powietrza, tyle potrzebnego ludziom i zwierzętom.

Sady mające same tylko drzewa owocowe, wydają niemniej znaczący pożytek. Na jednym morgu zasadzonych dobrych gatunków grusz 150, albo jabłoni 200, czereśni 300, wisien lub śliw po 400 sztuk, (bo tyle każdego z tych rodzajów wygodnie z rozpostartemi gałęziami nieścieśnionych między sobą rość może), gdyby jedno drzewo większe tylko po złotemu, a mniejsze po pół złotego przyniosło korzyści, jakiż to dochód będzie roczny po jednorazowem zasadzeniu szczepów, nie potrzebując potem przez lat wiele ani ich sadzić, ani też uprawiać corocznie gruntu, jak tego wymagają zasiewane warzywa i zboże? Cóż dopiero, kiedy dorodne grusze i jabłonie zrodzą owocu wartości na dukata, a czereśnie, wiśnie i śliwy na talara lub wreszcie na pół talara, jaki to będzie dochód, jaka pociecha dla założyciela? Prawda, że kilka lat trzeba czekać, nim drzewa rodzić zaczną, że nie każdego roku one obradzają; ale też kiedy owoc się zrodzi, to oczekiwanie i zachód sowicie są nagrodzone, zajęcie gruntu pod sad nie jest nadaremne. Przy tem utrzyma się także i pasieka pszczół, które podług nauki i praktyki u nas księdza Dolinowskiego w Lubelskiem, w roku miodnym z jednego ula dają 100 funtów miodu. Takim sposobem chybienie w obrodzeniu owocu w sadzie, wynagradza skrzętny owad, któremu żywność daje Ojciec niebieski, a człowiek po osadzeniu roju, o niego nie troszcząc się, tylko dwa razy do roku do ula zajrzy: raz na wiosnę, żeby go oczyścić, drugi raz w jesieni, żeby miód podebrać.

W Warszawie, blisko miejsca zwanego *Koszyki*, jest ogród około morga przestrzeni, zasadzony trzystu czereśniami, z których właściciel w roku urodzajnym ma tysiąc rubli sr. dochodu. Dlaczego tu jednak, mimo takiej popłatności owocu, który w dobrych gatunkach droższy jest od zagranicznych pomarańcz i cytryn, przy tak znacznej liczbie ogrodów i dobroci ziemi, ogrodnicy nie zaprowadzają porządnych sadów, tylko większe staranie obracają do uprawy warzywa, trudno sobie to wytłumaczyć. Dowożony tu owoc z okolic i zagranicy w beczkach i koszach, Wisłą zaś na galarach, przychodzi na targ często potłuczony i popsuty, na czem wiele tracą tak ten, który go w sadzie wyhodował, jak i ten, który od niego kupuje i na odprzedaż przekupniom do miasta sprowadza.

W innych krajach, gdzie ogrodnictwo jest

(*) Nie idzie jednak o to, aby wiele gruntu zabierać pod uprawę, ale zabrany uprawiać należycie.

w stanie kwitnącym, nie tak się obchodzą jak u nas z dojrzałym owocem. U nas trzęsiony spadając, tłucze się po gałęziach i na ziemi, przez co pokaleczony nie daje się długo przechowywać, a tem samem wiele na wartości swojej traci. Za granicą nigdy nie otrząsają z drzewa, ale najdorzalsze sztuki ręcznie i ostrożnie zbierają za pomocą ostrych żelaznych widełek, osadzonych na końcu długiej tyczki z koszykiem, w który za ogonek urwany owoc spada cały, i tak z drzewa zdjęty, w przygotowany kosz z rokiciny pleciony, zaraz warstwami jest układany, liściem kasztana lub klona przekładany, tak, że ogonki tych liści wysadzone przez pręty nazewnątrz kosza, nic we środku jego nie przeszkadzają do starannego upakowania na przewóz. Takim sposobem odbywa się wielki handel świeżemi owocami z południowej Francyi do Anglii na okrętach przez morze, kiedy u nas o mil kilka rzadko całe na targ dostać się mogą.

Chociaż na wsi dalekiej od miasta ludnego, nie ma takich widoków zysku ze sprzedaży owoców, zawsze jednak one większą korzyść przyniosą, ñiżeli w polach zasiewane zboże, nawet przy najlepszym jego urodzaju. Najprzód jest swoja wygoda w domu, a jak też to miło latem podczas upału u żniwa mieć z sobą kilka gruszek lub jabłek dla ugaszenia pragnienia, kiedy o wodę świeżą i zimną tam trudno? Nie zużyty lub nie sprzedany zbywający owoc świeży, zda się i dobry będzie na zimę suszony, nie tylko na wilię, ale na każdy post w ciągu całego roku. On swym przyjemnym smakiem i pożywnością oszczędzi okrasy, w razie zaś nieurodzaju zboża, lepiej zastąpi niedostatek chleba i ratować będzie od głodu, niżeli kasza robiona z żyta niedojrzałego, albo różne zieleniny bez kaszy i soli, oraz bedłki trujące. Wreszcie owoc świeży można do zachowania wysmażać na powidła, za dodaniem cukru lub miodu, zwłaszcza gdy teraz cukier nie drogo kosztuje, a co każda gospodyni wiejska łatwo zrobić potrafi. Z powideł przekąska z chlebem dzieciom bardzo jest pożądana, dobra także i dorosłym w drogę, lub idącym do jakiej roboty za domem. Z wisien, porzéczek i malin sok z cukrem przygotowany, lekarstwem jest na gorączki.

Owoc dojrzały jest zdrowy i orzeźwiający, i dlatego każdemu bardzo smakuje. Upragniony dzieciom równie jak i dorosłym, w niedostatku u siebie, pobudza do robienia szkody w cudzym ogrodzie, gdzie jakie drzewo owocowe będzie, chociażby i dzikie, byleby owocu dostać i zmarnować: bo niedojrzały jest niesmaczny i zdrowiu szkodliwy, a że przed czasem bywa z drzewa obrywany lub kijami obijany, przez to sady niszczeją i nigdzie w należytym stanie utrzymać się nie mogą, skutkiem takiego psucia plonu, oraz tłuczenia i łamania gałęzi drzew.

Smutna rzecz widzieć u nas wsie i miasteczka z ogromnemi obszarami pól, niemające sadów, przyczyniających się do pomyślności rolnictwa i polepszenia bytu ludzkiego. Ogrody warzywne również nie wszędzie znajdują się w należytym stanie, chociaż te z natury swojej powinny być wzorem i szkołą dla rolnictwa; gdyż w nich jako na mały rozmiar uprawianych, najlepiej przekonać się można o płodności różnych gatunków ziemi. Tu wykrywa się cała potęga tej płodności, nie tylko od samych zależąca nawozów, wiele bowiem na to działa i wpływa staranność człowieka, przez głębokie skopanie i spulchnienie ziemi rydlem, oczyszczenie jej z chwastów, pielenie, polewanie, poruszanie i t. d. Tu okazuje się także z ciągłej uprawy roślin, że ugory nie są potrzebne, jeżeli rośliny zastósowane do natury gruntu rosną w pomieszaniu z sobą, lub są co rok na inne miejsce przenoszone, i zmianowaniem odmienne rodzaje po sobie następują w pewnym porządku, który nam doświadczenie naznacza.

W sadach nie ma znowu tego następstwa, tylko jednakowe rodzaje i gatunki obok siebie rość powiny, ażeby pył kwiatowy jednych nie padał na drugie i nie mieszał zarodków owocowych. Osobno więc, czyli z sobą tylko sadzone być powinny grusze, podobnież osobno jabłonie, śliwy i t. d, na co dotąd w zakładaniu sadów nie zwrócono uwagi i nie postrzegano, że mieszanie z sobą różnych rodzajów jest szkodliwe; jak o tem przekonywa zasadzenie wysadków kapusty czerwonej obok białej, która przez padanie na nią pyłu kwiatowego z czerwonej zamienia się na białą, a tylko osobno jedna od drugiej sadzona, zachowuje się w swoim gatunku.

Grunt pod drzewa owocowe najwłaściwszy jest taki: pod grusze wyższy piaskowy, mający spód gliniasty, jak to daje się widzieć w polach, gdzie takie drzewa dziko rosną; pod jabłonie grunt niższy z czarnoziemem przy wilgoci i glinie, jak to wskazują jabłonie dziko w lasach rosnące; pod śliwy takiż grunt żyzny nie suchy; pod wiśnie najlepszy jest piaskowy; pod czereśnie potrzebny jest od tego żyzniejszy; w ogólności pod drzewa z owocem pestkowym, przydatny i właściwy jest grunt piaskowy.

Dla zasłony drzew owocowych w czasie ich kwitnienia od wiatrów wschodnich i mrozu, potrzebne jest obsadzenie sadu gęsto na około drzewami dzikiemi, jakoto: lipami, klonami, kasztanami, wiązami, topolami kanadyjskiemi lub grabiną we dwa rzędy, z których utworzy się płot żywy i dla pszczół będzie kwiat do miodobrania.

Jak zaś drzewa siać, sadzić i szczepić, to w dalszym ciągu wykładu ogrodnictwa opisanem zostanie.

O Józefie Jakubowskim

karczmarzu.

Czytelnicy nasi przypominają sobie może, że przed trzema laty umieszczona była w tem piśmie legenda *O cudownej Matce Boskiej w Studzianny*. To więc miejsce łaskami słynące zupełnie im obce być już nie powinno. Nie szkodzi jednak przypomnieć im, że Studzianna położona jest w Opoczyńskiem nad r. Pilicą, w okolicy piasczystej i równej; sama gęsto drzewami zarosła, wygląda jak wazonik z bujnem kwieciem, jak zielona kępka wśród pustyni. Wtem pięknem ubłogosławionem ustroniu, jeszcze w r. 1858 umarł człowiek, który wyraźniej niż inni ludzie doznawał wsparcia Cudownej Matki-Boskiej.

Tym człowiekiem był Józef Jakubowski, karczmarz. Opowiadają o nim np. znajomi, że kiedy chłopi przyśli na wódkę, z całą uprzejmością wydawał im pierwszą porcyę żądaną, ale skoro dostrzegł, że który z nich przy słabszej głowie przebrał już miarkę i blizkim był upicia się, drugiej porcyi wydać mu już nie chciał. Na tem nie poprzestał, obawiając się, żeby ten pijaczek, zasmakowawszy już w wódce, do innej karczmy się nie udał i pieniędzy nie zgubił, zabrał mu mieszek ze wszystkiem, co w nim było i schował do swojej kieszeni. Drugiego dopiero dnia, kiedy właściciel pieniędzy się zgłosił, oddał mu je, w te do niego przemawiając słowa:

Widzisz bracie miły, że nie gniewać się ale dziękować mi powinieneś za to, żem ci wczora więcej pić nie dał i pieniądze zabrał. Nie przepiłeś się, dziś jesteś zdrów i po robocie możesz znowu kieliszek sobie wypić; a gdybyś wczora się przepił, dziś byłbyś chory, do pracy niezdatny i miałbyś w sumieniu wyrzuty, żeś Boga obraził. Czyż nie lepiej tego nie czynić, czegoby potem trzeba było żałować?

Zapewne chłopek nieraz musiał się za odebrane pieniądze dąsać; gniew ten jednak nie dochodził nigdy do wysokiego stopnia, kiedy ś. p. Józef śmiał to samo kiedyindziej powtórzyć. Pokazuje się ztąd, jaką miłość i powagę miał między ludem. Takie jego postępowanie jakże zawstydzać powinno tych karczmarzy, co to na drogę wybiegają, idących ludzi z kościoła wabią do karczmy, a tam w niechętnych nawet rozbudzają ochotę do picia gładkiem słówkiem i pochlebstwy! Nie umiał takim sposobem robić majątku ś. p. Józef; to też po sobie żadnych dostatków nie zostawił.

Czuł świętej pamięci Józef całą ważność przysięgi przy ślubie w obliczu nieba i ziemi wykonanej. Pojął, że ta przysięga była równie wielką i swiętą. Pamiętał, że poprzysiągł żonie miłość; to też jak świadczą sąsiedzi, nigdy spokojność między małżonkami Jakubowskimi zakłóconą nie była. Nigdy o ściany ich domu nie obiły się przekleństwa, które ku okropnemu zgorszeniu dziatek i domowników tak często słyszeć się dają w mieszkaniach niezgodnych małżonków. Bywało nieraz, że pieniądze uzbierane za wódkę, w dużej ilości oddawał synowi do przerachowania, a sam wyszedł z domu, albo czem innem się zajął. Pokazuje się ztąd, jak dalece mógł ufać ten dobry ojciec swojemu dziecku, które nic dziwnego że było nieposzlakowanej poczciwości, kiedy nigdy złego przykładu nie widziało, a w bojaźni i miłości Bożej

przez ciągłą i cierpliwą naukę, oraz przez troskliwe czuwanie rodziców było ćwiczone! Wzór mężów i ojców ś. p. Józef, był także dobrym przyjacielem. Po swojemu też prostaczkowie wyrazili swoje dla niego uwielbienie, kiedy opłakując zgon jego, jednomyślnie mówili: *że podobny człowiek nie przeszedł i już nie przejdzie przez Studziannę.* Ale najwyraźniej dowiedli mu swojej życzliwości przy ostatniej posłudze. Na pogrzebie taki był natłok ludu, że obcy człowiek zmuszony przedzierać się przez te tłumy do trumny, spodziewałby się zapewnie obaczyć aksamity i złote kutasy, a ujrzawszy ze zdziwieniem prostą, zaledwie pomalowaną i krzyżem naznaczoną trumnę, dopieroby się może domyślił, że to chowają człowieka ubogiego w pieniądze, ale bardzo bogatego w cnoty. Szczęśliwa jedna okoliczność podniosła jeszcze bardziej okazałość pogrzebu. Było to w ostatnim dniu zapust. Do księży Filipinów zgromadziła się wielka liczba kapłanów na odpust Czterdziesto-godzinnego nabożeństwa. Ci kapłani dowiedziawszy się, jaki to był człowiek ś. p. Józef, chętnie po skończonem odpustowem nabożeństwie pośpieszyli do domu nieboszczyka, ztamtąd odprowadziwszy szanowne zwłoki do małego kościołka stojącego samotnie na grzebalnym cmentarzu. Jeden z tych zacnych kapłanów z żywem przejęciem się mówił na pochwałę zmarłego ku zbudowaniu żyjących. Następnego dnia przypadł właśnie Popielec, i kiedy kapłan posypując głowy popiołem, mówił uroczyście: *pamiętaj człowiecze, żeś z prochu powstał i w proch się obrócisz*, w tym samym czasie, wśród jęku krewnych i znajomych, wśród rzęsistych łez dwóch dopełniających pogrzebowego obrzędu kapłanów, wstępował do grobu człowiek, który zapewnie w życiu tego nie wypuszczał z pamięci, że w proch obrócić się musi.

Dlaczego tak trudno o dobre służące?

—

Od niejakiego czasu coraz to trudniej o zdatne i dobre pokojówki i kucharki—dlaczego? Oto dlatego, że jak tylko prosta dziewczyna pójdzie do miasta na służbę, przebędzie rok, a najwięcej dwa, nauczy się trochę cérować i jakotako igłą ruszać, to się jej zaraz w głowie przewróci, i nie pomyśli już nawet, aby się wykierować na dobrą kucharkę, lub pokojowę, ale mówi:

Do czego ja mam *wytrychować* w służbie, pracować, zdrowie niweczyć, kto mi każe? Ani to swobody, ani wygody, ani nic dobrego człek w służbie nie użyje. Alboż to ja nie mogę chodzić do szycia jak i inne; będę sobie panią swej woli: od 7 do 7 będę szyła, a reszta to moja. A niedziela, niedziela, to już cała moja... aż serce skacze na samą myśl, jak to jej można różnie użyć, a zawsze przyjemnie. Oto w lecie na różne spacery, na huśtawki, na majówki, a zawsze w wesołem towarzystwie; a w służbie, to trzeba zawsze warować. W zimie znowu bywają różne baliki, pikniki, składkowe wieczory i t. p... aż się dusza śmieje, bo człek wolny, to jak ptaszek polny, gdzie zamyśli, to może lecić. A w służbie, to się pani zaraz wypytuje: a dokąd? a po co? a na co? a doczego? a perswadując: siedź lepiej w domu, nie zniszczysz odzienia, bucików nie zedrzesz i nic nie stracisz. Oto lepiej pomódl się, idź spać, a i Pana Boga nie obrazisz, wyśpisz się, a jutro będziesz swobodną i ochotną do pracy. A toć to aż mgli słuchać takich bredni, bo to wyraźnie chodzi tylko paniom, żeby dla nich zawsze pracować i bydź na każde ich zawołanie, nigdy nawet wytchnąćby nie dały człowiekowi. Doprawdy siłby nie stało, żeby chcieć paniom dogodzić. Ale to się radzi sobie, jak można, a jest dosyć różnych sposobów: jak np. poślą mię gdzie z listem, to choć zaraz odpowiedź dadzą, to ja ledwo za godzinę wrócę; bo po co się mam śpieszyć? Poślą mię za jakim sprawunkiem, to pójdę do pierwszego sklepu, sprawię go, to dobrze, a nie to nie; pójdę, postoję gdzie na rogu ulicy z jaką przyjaciółką z pół godziny, i znowu gdzie drugie pół godziny, a potem żółwim krokiem idę do domu, i powiem, że takem się nalatała, naszukała, i ledwo dostałam, albo wcale dostać nie mogłam i t. p. A przy balii, lub innej robocie, to się znowu odedrzémie to, co się w wieczór na ganku postało. Zresztą choć na wszystko się znajdzie sposób, ale jednak się służba przykrzy. Najlepiej to być szwaczką; choć ich już jest i tak dużo, aleć i ja jeszcze znajdę robotę.

I tak każda myśli, nie zastanowiwszy się

nad przyszłością i nie obliczywszy się z funduszami; i dlatego psują się podobne sługi. Bo jak zostanie szwaczką, to wjej mniemaniu potrzebuje daleko więcej wydawać na swoje jak dawniej: bo jako szwaczka, niepodobno aby tak chodziła jak pokojówka, a więc trzeba się fiokować jak i inne, a tu nie staje. Chociaż jeden dzień przepędzony na szyciu przyniesie więcej stosunkowo, jak dzień na służbie, ale za to tam już cały rok bez przerwy, a zatem i straty ubieży, a przy szyciu na dnie, jak się zdarzy: co się przez tydzień zarobi, to przez drugi przeje, a czasem jeszcze i nie stanie. A jak przyjdzie choroba, lub jakie inne nieszczęście, to się jeszcze i to wyprzeda, co się miało ze służby, i tak się brnie coraz dalej w nędze, albo się też dźwignie jakim niegodziwym sposobem, i na wieki się shańbi, byle tylko było na stroje i na różne zbytki. Źle bowiem zrozumiana ambicya nie pozwoliłaby żadnej powrócić do dawnego obowiązku, choćby na tym tysiąc razy lepiej wyszły: i ręceby nie tak odwykły od pracy, i miałaby zawsze porządne ubranie i poczciwy kawałek chleba, a nawet prędzej i lepiejby za mąż poszła, jak powierzchownie wyfiokowana szwaczka. Każdy wie, że jak taka pójdzie zamąż, to się jej nic robić nie chce; bo szycie już się dawno sprzykrzyło, a do innej pracy ręce za delikatne: słowem, odwykła zupełnie od innych zajęć. Więc nie może się obejść bez służącej, sama zaś siedzi z założonemi rękoma, a ty biedny mężu pracuj na wszystkich i wszystko sam; a jak jeszcze Bóg ich obdarzy licznem potomstwem, to całe grono wygląda jak zgraja żebraków, obdarte, obszarpane, usmolone, aż nie miło spojrzeć. Pani żona sama podobnie chodzi, więc i dziećmi się zająć nie chce. Mąż widząc, że cała jego praca na nic się nie zda, ze wystarczyć nie może, bo niedbalstwo i nieład żony wszystko niweczy, pójdzie raz i drugi do gospody dla rozerwania smutnych myśli, a znajdując tam chwilowe zapomnienie gniotącej go nędzy, pomału tak się w to wciągnie, że z niej prawie nie wychodzi. Tak i on ręce opuścił, a więc małe dzieci muszą chodzić po domach i wypraszać jałmużnę; a wszystkiego narobiła chęć wolności źle zrozumianej i swobody kobiecej.

Przeciwnie zaś porządna kucharka, lub pokojowa poszedłszy zamąż, nie opuszcza się, bo nawykła do pracy i porządku: dopomaga chętnie mężowi, pracuje z nim razem, i około wszystkiego zabiega jak może. To też na nią i na dzieci aż się chce patrzeć, a mąż błogosławi chwile, w które nie zważał na pstre stroje szwaczek, tylko ożenił się z porządną i pracowitą służącą.

Więc kiedy tak wszystkie wolą zostać szwaczkami, pozostają się na służące tylko te, które i tyle zręczności nie mają, ażeby się choć jakotako nauczyć mogły szyć, a i z tych jeszcze wiele przekłada służbę u starozakonnych, bo tam podobno lepiej jadają, mają dwa święta na tydzień, a przytem jeszcze mogą się hardziej stawić w każdem zdarzeniu swoim paniom, jak u nas. To wszystko tak się im podoba, że nie zważając na żadne perswazye, a nawet na przepisy kościelne, lecą tam jednakże jak wprzepaść—tak jest w przepaść, bo nie mając gruntownie wpojonych zasad religii świętej, pomału, pozbywają się ich do reszty. Nie widząc tam żadnego przykładu zachęcającego do naszej świętej wiary, obojętnieją na wszystkie uczucia święte. Serce naszego ludu jest jak rola, która przyjmie każde ziarno, byle je rzuciła umiejętna ręka, i rośnie lub ginie, stosownie do pielęgnowania go. A zatem warto jakimbądź sposobem zaradzić złemu, które się tak szerzy. Starozakonni sami powinni nie przyjmować sług chrześciańskich, jeżeli chcą zachować swoje wyznanie; bo czyż taka służąca dokona wszystkich jej przepisów? W przeciwnym bowiem razie dwojako odpowiedzą przed Bogiem: raz sami za siebie, a drugi za służące, które u nich będąc, nie zachowują żadnej religii.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15 Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 8 (20) maja 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*